

Jan Maciejewski: Błazen patrzy na nas

Stanisław Tarnowski chrzcząc Krasińskiego na patrona polskiego konserwatyzmu nie mógł sobie zdawać sprawy z trafności tego ruchu. Autor „Irydiona” widział rewolucję jako proces, a nie eksplozję. Powolny ruch płyt tektonicznych społeczeństwa, którego poszczególne trzęsienia ziemi mogą być co najwyżej przejawami – pisze Jan Maciejewski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Krasiński. Nieodzowność dramatu dziejów”.

Jest śmieszny, nie ma sensu tego ukrywać. Śmiech wokół Krasińskiego przycicha tylko wtedy, gdy przestajemy się nim w ogóle interesować. Nie bez powodu, sam sobie na to zasłużył. Jak tego przedpołudnia, kiedy przyjechawszy do Paryża na schadzkę z kochanką ubrał jaskrawy szal, założył niebieskie okulary. Ale przecież nie wystarczy robić z siebie błazna, żeby pozostać incognito. Na ulicy wpadł na niego Słowacki, oczywiście go rozpoznał i próbował z nim przywitać. Krasiński uciekał przed nim krzycząc po francusku, że pomylił go z kimś innym. Jeszcze tego popołudnia do mieszkania trzeciego z wieszczy zapukali sekundanci Słowackiego, który poczuł się tak urażony tym zajściem, że wyzwał Krasińskiego na pojedynek. Żenada.

Do strzelaniny nie doszło, ale Juliusz zemścił się na Zygmuncie parodiując – trzeba przyznać, że dość udanie – fragment „Przedświtu”: „Z ojców mych ziemi przez wroga wygnany, deptać musiałem – salonów dywany”. Bo Krasiński bawił głównie tym właśnie –

kurczowym trzymaniem się form przeszłości, przywiązaniem do arystokratycznego pochodzenia, herbów i tytułów. Krytyką demokracji, rewolucji, tendencji równościowych – właściwie całego panteonu bożków postępu, czczonego przez XIX wiek. Namaszczenie z jakim zabierał głos, nadużywanie wielkich liter w swoich utworach, połączone z oddawaniem czci nie temu bóstwu, które aktualnie było modne tworzyło najbardziej wybuchową mieszankę – rozdrażnienia z rozbawieniem. Od tamtej pory z Krasińskiego śmiać już się zwyczajnie wypada. Wyśmiewali go więc Tuwim i Makuszyński, Gombrowicz i Parnicki. Chichotali z jego powodu Lem i Różewicz. Całą tę lożę szyderców przybliża i opisuje w tekście „Śmieszny Krasiński” prof. Maciej Szargot. Ale za murem rechotów i kąśliwych uwag ukrywa się odpowiedź na najważniejsze pytanie – czy trzeci z wieszczów był świadomy swojej śmieszności?

Czy potrafił być błaznem nie tylko ku uciesze gawiedzi, ale też w sobie i dla siebie? Dokonać najstarszej ze sztuczek, najmądrzejszej z transgresji – ze śmieszności uczynić źródło wiedzy i poznania. Czy kiedy w salonie dobiegał jego uszu stłumiony chichot lub gdy na ulicy dostrzegał złośliwe spojrzenie – wściekał się czy raczej oddychał z ulgą? Czy potrafił zrozumieć, że od teraz wolno mu więcej, może patrzeć dalej – nie jest skrupowany aktualnymi modami i bieżącym układem sił. To najważniejsze z pytań, krążących wokół Krasińskiego. Pytanie, na które osobiście udzielam twierdzącej odpowiedzi. I właśnie dlatego, ze względu na jego błazenadę, trzeba go dziś czytać.

Bo błazen zawsze idzie pierwszy, jest królem każdego z karnawałów. Wygłupia się zwracając na siebie uwagę, skrzykując wokół siebie tłum. A potem żonglując, potykając się i opowiadając niesmaczne żarty prowadzi kondukt przez ulice miast i wsi, przez epoki i przełomy.

*Fałszywi prorocy zawsze są
poważni. Przyszłość widzą
wyraźnie tylko trefnisie*

Zwłaszcza te
ostatnie. Wolno mu
mówić to wszystko,
co nie przejdzie
przez usta
szanującym swoje
imię myślicielom i

politykom. Tym, którzy myślą o tych, do których aktualnie się zwracają. Błazen wie, że jego słuchacze tak czy inaczej nie wezmą go na serio, dlatego może mówić, do tych, którzy dopiero nadejdą. Fałszywi prorocy zawsze są poważni. Przyszłość widzą wyraźnie tylko trefnisie. Ignorujmy kaznodziejów, śledźmy tricksterów.

Krasiński widział przyszłość, był w niej zanurzony najbardziej ze wszystkich wieszczów. Widział przyszłość swoją i naszą. Przegląda się w Henryku, bohaterze napisanej w młodości „Nie-boskiej komedii”, ale nie jak w lustrze, tylko szklanej kuli. Ten sam stosunek do poślubionej później żony, to samo uganianie się za poetycznymi kochankami. Trzymanie się tradycji przodków, nie ze względu może na nią samą, ale przez strach przed chcąc ją wykarczować rewolucją. Może to właśnie drugie, zaraz po błaźnie, słowo-klucz do trzeciego wieszca. Stanisław Tarnowski chrzcząc Krasińskiego na patrona polskiego konserwatyzmu nie mógł sobie zdawać sprawy z trafności tego ruchu. Autor „Irydiona” widział rewolucję jako proces, a nie eksplozję. Powolny ruch płyt tektonicznych społeczeństwa, którego poszczególne trzęsienia ziemi mogły być co najwyżej przejawami. Ale nawet kiedy rewolucyjny sejsmograf milczy, sam proces nie ustaje. Rewolucja tak jak ją zrozumiał Krasiński nie może się nigdy skończyć. Ani bowiem nie może się udać, ani też nie da się jej zdławić.

*Nazwać Krasińskiego
myślicielem
kontrrewolucyjnym byłoby
niesprawiedliwością wobec
niego, a nieuczciwością wobec
zawodowych
kontrrewolucjonistów*

I chociaż tak wiele
pozornie jest w nim z
de Maistre'a, de
Bonalda czy
Chateaubrianda –
ten sam pesymizm,
ta sama zaprawiona
trzeźwością oglądu
niechęć do czasów,
jakie nadchodzą –

nazwać Krasińskiego myślicielem kontrrewolucyjnym byłoby
niesprawiedliwością wobec niego, a nieuczciwością wobec zawodowych
kontrrewolucjonistów. Nie chciał umierać, byle tylko śmierć
następowała powoli. Nie widział szans na restaurację starego porządku.
Chciał iść dalej, dalej niż jest w stanie podążać jakakolwiek rewolucja.
Nie oglądał się za wczorajszym dniem, oczekiwał „Przedświtu”:
„Idziecie, a nie wiecie dokąd – i nie modlicie się już jak za dawnych lat,
jedno powtarzacie: «źle nam jest». Lecz wszelki koniec mieści już w
sobie następny początek – dzień zgonu tylko poprzedza godzinę
przebudzeń. Alboż wy nie wiecie, że to chrześcijańska wiara? Więc
patrzcie uważnie, a znaki śmierci przemienią się wam nagle w znaki
zmartwychwstania!”

To, co czyniło z niego zacofanego w XIX wieku, dziś okrywa go
blaskiem profety. Przywiązanie – zdecydowanie najsilniejsze spośród
wszystkich polskich wieszczów – do katolickiej ortodoksji uodporniło
jego mesjanizm na rewolucyjne pokusy. W przeciwieństwie do
Mickiewicza, nigdy nie dał się uwieść myśli, że Duch święty wcielić się
może w rewolucyjny tłum. Krasiński był zapóźniony i dzięki temu
przewidujący. Bliższy zawsze okopom świętej Trójcy niż obozowi

Pankracego, po stronie – choćby i najbardziej skompromitowanej, ale wciąż przechowującej chociaż resztki wartości i zasad – arystokracji, a przeciw rewolucji, której żywiołem może być tylko zniszczenie.

„Nie-boska komedia” jest genialna głównie przez to, że nikt w niej nie ma racji. Kiedy Henryk rozmawia z Pankracym, obrońca tradycji z wodzem rewolucji, obaj mają rację, ale tylko wtedy, gdy krytykują swojego adwersarza. Widzą nawzajem swoje błędy i słabości, ich oczami widzi je Krasiński. Ich sercami wie, że będą się musieli ze sobą zmierzyć, choć przecież coś ich również do siebie ciągnie. Każdy z nich dostrzega w tym drugim pierwiastki tych sił, których brakuje w jego „obozie”. Konserwatysta w rewolucjoniście siłę i zapał, rewolucjonista w konserwatyście – szczerą miłość do wartości pozytywnych, a nie jedynie nienawiść do zła. Ale ponieważ stoją naprzeciw siebie, tych rzeczy które są w nich dobre i potrzebne światu nie uda się już połączyć. Henryk zamknie się w twierdzy ze zgrzybiałymi arystokratami, Pankracy – wróci do obozu rozentuzjasmowanych nihilistów. Komedia.

Czuć się dobrze w swoim obozie – nieważne czy to szanse Pankracego czy okopy świętej Trójcy – mogą jedynie ci, którzy niewiele rozumieją z tego co się dzieje

Jako pierwszy wagę i znaczenie tego dramatu zrozumiał Mickiewicz. Zobaczył też jak daleko wygląda „Nie-boska” w przyszłość. I że dramat ten patrzy na nas, jego dalszy ciąg,

być może ostatnie już akty, właśnie się rozgrywają. „Polska w «Nie-boskiej komedii» nie jest naszą Polską historyczną i geograficzną, jaką

dzisiaj znamy; możemy ją tylko wyobrazić sobie, przypuściwszy na przykład, gdyby nagle, zbiegiem jakich wypadków, skutkiem jakiego kongresu, stanęła cała i niepodległa, ale bez własnej siły żywotnej wewnątrz, natchniona jedynie życiem obcym, ruszająca się mocą uczuć i wyobrażeń wyrobionych w Europie” – mówił Mickiewicz podczas wykładów w College de France. Mówił, mając przed oczami – nawet wieszczom czasem to się zdarza – Polskę przyszłości, jaką dopiero my dzisiaj znamy. Tę, która zbiegiem jakichś wypadków stanęła niepodległa, ale bez siły żywotnej. W której zarówno siły rewolucji jak i tradycji przebierają się w zachodnie kostiumy. Konserwatyści naśladują hiszpańskich czy południowoamerykańskich kontrrewolucjonistów, postępowcy zaś niemieckich, francuskich czy amerykańskich liberałów. Jedni i drudzy natchnieni są jedynie życiem obcym. Czuć się dobrze w swoim obozie – nieważne czy to szanice Pankracego czy okopy świętej Trójcy – mogą jedynie ci, którzy niewiele rozumieją z tego co się dzieje.

Na tej wojnie nie będzie zwycięzców, sami zwyciężeni. Logika historii skazała stary świat na zagładę, nowy – na samounicestwienie. Ten pierwszy nie ma się już, gdzie bronić, drugi – na czym budować. Tango down dziejów dąży jednak do początku nowej Ery. My żyjemy u jej zarania, w jej Przedświcie. „Zanim ta prawda się rozwinie i dopełni, nim świat dojdzie do całkowitego i świętszego przeobrażenia się, musi się sam wyczerpywać, jak wyczerpywał się starożytny, musi się sam zaprzeczać, jak zaprzeczał się starożytny”.

Krasiński był nie tylko – jak już po wyjaśnieniu sobie wcześniejszych nieporozumień nazwał go Słowacki – poetą ruin. Widział zgłiszczca, ale słyszał też unoszący się nad nimi okrzyk: „Galilae, vicisti!”. W wojnie przeszłości z przyszłością zwycięży wieczność.

A ja mu wierzę. W końcu to błazen.

Jan Maciejewski

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury –
państwowego funduszu celowego.*



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego